

KONSTANTY DOBRZYŃSKI

**ŻAGWIE
NA WICHRACH**



POZNAŃ 1938

R

Zakupiono
od D.K. Antykw. WSP
w Krakowie

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Cypriana KAMIŃSKIEGO
w ŁODZI
85902. 22 V. 64.

„Kiesie cud swej idei pomalim wrami
hardo dzwigac' umieli i walcy i konne

czeka muniola Sob. 49-52

ŻAGWIE NA WICHRACH

Lódź, 4/6-38
„ Na bagnety!
Na piści!
Na ryby! „
Wojciszewo!!!

KONSTANTY DOBRZYŃSKI

ŻAGWIE NA WICHRACH

284-1

POZNAŃ 1938

NAKLAD, CZCIONKI I DRUK: Drukarnia Polska S. A. w Poznaniu



I.

OJCZYZNA

Tu mój dom, w którym schody pracowicie trzeszczą,
rynsztok i ulica.

W lewo park — liście w górze kołując szeleszczą.
Miasto w górę wyciąga dymiące tchawice.

Ja wiem, że za miastem
rozciągnęły się pola, jak struny mandolin
nakręcone na gryfy wysmukłych topoli.
Jesienią motykami trąca je niewiasty...

Ja wiem...
wiosną pług lśniące wargi ułoży na skibach,
wiatr czarnymi palcami zbronuje ugory.
Wyjdzie on — brat mój — siwy Piast z sadyby;
w pustym polu przystanie na tle sinych borów...

Potem ruszy miarowo, powoli przez pola,
przepasany szeroko wielką płachtą nieba,
jakby słońce przyzywał, zakreśli półkola
dłonią czarną, spękaną i pachnącą chlebem.

Wyjdą łąki naprzeciw z kwiatami we włosach,
będą mieć przydróżki, miedze i ogrody.
Sady usta wiśniowe podadzą niebiosom,
wstydem spłoną jabłonie, prężąc piersi młode.

Łany będą wzorzyste, jak łowickie pasy,
żyta rzęsą przysłonią swe chabrowe oczy —
będą patrzeć pod słońce, czy z dala od lasu
kosynierów bartkowych huf czasem nie kroczy.

Zimą znowu śnieg modry swe puszyste łapy
oprze cicho na dachach i zajrzy do sieni.
Czasem głód pajęczyną zwiśnie u pułapu.
Prządka troskę wysnuje z kołowrotka wrzenia.

Przymknę oczy:

wsie, miasta zahuczą mi w głowie —
gdy otworzę — dłoń znana, dłoń bardzo kochana
poda mi, jak swe serce — ciepłe polskie słowo —
i przytuli mi do ust, ust łzami oblanych...

I to wszystko tak piękne, aż tchu brak, by wyznać!
Czuję tylko w antenach żył prężnych pod torsem,
jak mi krew wystukuje rozszalałym Morsem
wyraz ogniem piekący, szkarłatny —

O j c z y z n a.

FACJATKA

Widzisz... to poszło jakoś głupio,
ot tak nijako, w pięć... ni w dziewięć.
Jakiś cię obcy człowiek kupił
z czarem twych dobrych, czarnych przegieć.

Z twoim zmrużeniem szybek małych,
do których księżyc się przyplaszczwał,
i z ram skrzypieniem, wtedy zwłaszcza,
gdy za oknami wichry grały.

Z twym parapetem krzywym szpetnie,
o drzewie czarnym, obumarłym,
na który włącząc — brzdąc trzyletni —
na przekór matce majtki darłem.

I z twoim ściętym w szron obliczem,
gdy trzeba było w palce chuchać,
(grzałem się wtedy Mickiewiczem,
albo Słowackim z Króla Ducha).

Pamiętasz tę noc rozhukaną
i ten mój w skroniach głuchy łoskot,
ten zryw... ten płomień... wicher boski,
gdy wybuchł pierwszy wiersz, jak granat?...

Widzę się. Siedzę tam, przy stole...
Lampa... na ścianie cień mej głowy...
I wiesz, to wszystko teraz boli,
facjatko moja przy Bankowej.

Spójrzcie.
Już jesień w polu gości,
lato, konając, ciężko dyszy.
Mgły nam na rzesach, jak lzy wiszą...
Już opuszczamy dom młodości.

Idziemy.
W burym, stęgłym niebie
już się zbierają śniegu płatki...
A każdy z nas zostawił siebie
tam... za oknami facjarki.

DWA MIASTA

Jesteś bardzo „nobleśny“ dostojny Poznaniu.
Siedzisz czysto wymyty nad brzegami Warty,
dostojny, okazały, że poznać cię warto.
Jesteś, jak pełna taktu, ugrzeczniiona pani.

Widziałem twoje suknie z modnego żurnalu,
skrojone z dobrym smakiem, piękne — bez zarzutu,
kokardy drzew — zieleni fruujące fale
i połysk lśniących wystaw — wyczyszczonych butów.

I gdy mi podawałeś mile skinąć racząc
na błyszczących asfaltów polewanej tacy —
pyszne ciasta — twe wille, operę, pałace,
nie wiedziałem naprawdę od którego zacząć.

Wiedziałem, że mój widok cokolwiek cię razi.
(Jak niezdarnie musiałem po twych jezdniach chodzić...)
Bałem się, by czymkolwiek ciebie nie obrazić,
więc daruj, że tak nagle wróciłem do Łodzi.

A ona już czekała na mnie przy rogatkach,
zaharowana taka, ot... od balii prosto.
Tam przy dworcu kaliskim usiadła pod mostem,
w dal oczy wypatrując — moja dobra matka.

Widziałem już z daleka jej głowę znużoną
i włosy rozkudłane — bure dymy fabryk
i oczy jej wypelzłe, zmęczeniem czerwone,
które kiedyś napewno kwitnęły jak chabry.

Stała trochę niepewna, cicha, zalękniona,
w rynsztokami brudnymi schlapanej spódnicy
i ręce z pęcherzami bruków — swe ulice
wyciągnęła czekając, gdy biegłem w jej stronę.

I szeptała... szeptała, może tysiąc razy,
może więcej, już nie wiem, ciepło imię moje...
I gdy mnie przytuliła do serca — do Chojen,
Poznaniu, nie uwierzysz — płakaliśmy razem.

MIASTO ŚPI

Noc przywlokła się człapiąc — żebraczka o kiju,
za daleko jej było, tu spocznie na chwilę,
zakutała się w starą, wytartą mantylę,
patrzy tępo jak księżyc srebrem szyby myje.

Z bram wyrzały latarnie, wzięły się za ręce,
suną środkiem ulicy bladym polonezem.
Wiatr — ulicznik zaświstał na palcach we wnęce,
kamienica rejenta spojrziała nań zezem.

Gwarzą szeptem kumoszki — kamienice grube,
przysadziste, pękate, spoglądają w górę,
gdzie się wcale nie bacząc na honoru zgubę
wałkoń księżyc przewala szelmowsko po chmurach.

Biegną kłusem łyskliwe tramwajowe szyny,
prosto, prosto, swobodnie, daleko, bez końca
i chichoczą po drodze, jak płóche dziewczyny,
wiatr je chwytą za włosy i po lydkach trąca.

Sen tysięcy uspionych z kominów się kurzy.
Chrapią schody, podwórza, korytarze, sienie...
Znow ten księżyc (idiota!), jedno oko zmrużył,
do śmietników ciekawe zanurza spojrzenie.

Teraz znowu się huśta na nagiej gałęzi,
o, zeskoczył i toczy się brzegiem chodnika,
gdzie w ponurych, jak trumny, zatechłych fabrykach
warczą przez sen maszyny, jak psy na uwięzi.

Nagle stuknął w drzwi knajpy. Otwarły się z trzaskiem,
światło na bruk chlusnęło, sypnęły się dźwięki
jakiejś głupiej, zszarganej własowej piosenki,
ktoś drzwi szybko zatrzasnął i wszystko zamarło.

I znów księżyc, widzicie wiecznego waganta?
Toć to kpiny są jawne (może łyknął grogu?),
wlokącego się żółwiem przy aptecznym rogu
pomyjami srebrnymi oblał policjanta.

Miasto śpi.

Senną głową kiwają po rogach ulice,
cisza dachy całuje jak może najśłodziej.

Ja ten wiersz napisałem specjalnie dla Łodzi
piórem z serca wyrosłym, maczanym w księżycu.

CHAM

Ręce ziemi nabrzmiałe są żyłami brózd,
 włosom borów poroście, chropowate orką.
 Słońce — fajka żarząca z niebios sinych ust
 pyka kłębem obłoków — dymami machorki.

Patrzą w niebo dni siwe z pod szarych brwi ściernisk.
 Wioski krążą doliną — stada chudych krów. —
 I z czarnej ziemi rosą kępy twardych słów
 rosochatych, jak dęby, co w głębi się czernią.

I gdy snopy ogromne, kosmate wieczoru
 powróło krwawe zorzy wiąże tu i tam,
 czuję:

z otchłani piersi — prawiekowych borów —
 wyrasta ostrym krzykiem rozchełstany c h a m.

Zdzieram z siebie tynk murów. Wybucham jak orkan!
 Wywalam łbem na oślep cegły, kraty bram!
 Zaciągam się przestrzenią, jak dymem machorki —
 rozkuty z kajdan miasta — odrodzony cham.

Wypruwam z siebie ckliwość, smęt księżyców białych —
 sentymentalnych bydła, — westchnienia i łzy.
 Rzy we mnie jędrne życie, jak ogier za stadem,
 ostrogi słów mu wbijam do żeber, do krwi!

I rwę po brzuchu roli dziki, rozhukany.
 Galopem!

W skok!

Znów cwałem.

A potem w rączy kłus!

Nie dla mnie złote frędzle konwenansów uzd,
 gdzie miłość mi nie pachnie gwiazdami i sianem.

Wytarzam się na wełnie skołtunionej łąki,
aż tryśnie ze mnie w górę stumilowy chlust —
poezji chlust — siarczystej, mocnej samogonki,
nie dla piersi cherlawych, nie dla bladych ust.

I pijany zatoczę się lasem, równiną,
i wrosnę potem w ziemię, jak bór... w niebo... sam...
i pieśni moje z szumem dąbrowy popłyną
prawieczne, jak ja — dziki, wyzwolony c h a m.

— — — — —

Nieprawda.

Nie rozplączę już drutów kolczastych...

Nie wierzcie

— to tak pręga... w policzek tnie kłam.

Będę już po wiek wieków — oswojony cham —
wisiał rozkrzyżowany między wsią i miastem.

Będę śnił po kawiarniach czar kwiecistych łąk,
nie po roli... wśród zgiełku po asfaltach kroczył —
i codziennie rano słońce napluje mi w oczy,
aż zadławia mnie mury — las kamiennych rąk.

UPAŁ

Piec niebios rozpalony na pół się rozłupał.
na patelni asfaltów smaży się kurz ulic
i domy się rumienia, jak skwarki z cebulą...
Zionie, bucha do okien rozżarzony upał.

Słońce — kucharz spocony, potwornie opasy,
miesza złotą warzachwią w ukropie przestworzy
i rzuca na obłoków roztopione masło
złomy murów drgające, jak ryby pod nożem.

Wiatr chciał uciec przed żarem, lecz omdlał niestety
i wlecze się niemrawo i murów się czepia —
z ogromnego zdziwienia wybałuszył ślepiec,
że ludzie — to chodzące bitki i kotlety.

Sapią głucho tramwaje, by szyn się dodrapać.
Wiatr ołowiem spadł na dół i pionowo sterczy.
Auta w ciężkim galopie rozdymają chrapy,
lakier żeber im pęka, smaży się i skwierczy.

Drzewom w parkach więzionym zatlili się grzywy,
pod fontannę się pchają, by nogi wymoczyć.
Kwiaty — lotne motyle — czeredą zgiełkliwą
pofrunęły trzepocząc w jarzące roztocza.

Zewsząd bucha błękitny, niewidoczny płomień —
drga w nim wszystko i skacze z nerwową szybkością.
W szyby — oczy zamrużone na drgających domach —
słońce wgryza się gwałtem, aż do szpiku kości.

Pofruniemy przez błękit, gdzie bory szemrzące
sączą zieleń w otchłanie mrocznego parowu —
będę patrzył z murawy na okruchy słońca
przez twe palce — woalkę złocisto-różową...

A wieczorem wyjdziemy z zielonej kąpieli
by się wytrzeć ręcznikiem chłodnego zachodu
i do ust nam przyplynie lekki obłok w bieli —
dużą porcją pachnących, waniliowych lodów.

DROGA

Tą drogą, którą wierzby niosą
w fartuchach liści aż do miasta —
słońce przechodzi codzień boso,
w rowie przysiada pośród chwastów.

Na pasmach zgrzebnych płacht ugorów
topole niosą się wysmukle,
by zdążającym hen, od borów
obłokom płowe czesać pukle.

Przydrożny strumień patrząc w niebo
nad czymś zamyśli się błękitnie,
w pól przepasując orną glebę,
płynie gdzie siwo dym zakwitnie.

A tam już droga za olszyną
do chat wieśniaczych truchtem dąży,
by za figurą wieś okrążyć
i by w bezdrożach leśnych zginąć.

Gdy mrok już burym mchem wyrasta
na gwiazd krzaczastych ryżej strzesze,
tą drogą zdala, hen od miasta,
bezpański pies ku wiosce spieszy.

W śmietniku miejskim wśród odpadków
skowycząc ujrzał światło boże.
Zdradziecko go już w łonie matki
miasto schwytało na obrozę.

W wypełzłych kudłach, w stęchłym mroku,
gdy rył niemrawo mokrym pyskiem —
to z mlekiem jasne ssał obłoki,
a sucza pierś pachniała rżyskiem.

I w snach szczenięcych skomlać z cicha,
w polach łaciate gonił krowy
i koniczyną moką czmychał
płoszyć zające nad parowem.

I nie mógł nigdy się nauczyć
bruku, co łąką nie wyrosnie,
gdy wył, patrzyły nań żałośnie
kapiące ropą oczy sucze.

Teraz pocięty syren batem,
pełnie by w mroków gaszcz się zaszyć.
Z miasta go charkot kół wystraszył
i blady wrzask ulicznych latarni.

Zdeptane w tłoku łapy bolą
i but brutalny boki piecze,
stuliwszy ogon, wężąc pole,
drogą się chyłkiem do wsi wlecze.

Lecz wie, że tam go nikt nie czeka,
że chleb na progach jest zatruty,
że go za płotem ktoś z daleka
chłaśnie przez pysk piekącym śrutem.

Że pola go już zapomniały,
że światła chat — kłujące noże,
— bo nosi rdzawy ślad obroży,
bo miastem już oparszał cały.

Więc tylko z dala, gdzieś nad strugą
ku słomie gwiazd swój pysk wypreży,
a nad wsią potem będzie długo
zdławiony skowyt w mrokach tężał.

I tylko tam, po drugiej stronie,
za wsią, na łysym łbie pagóra
księżyc przysiądzie na ogonie,
by głucho zawyc mu do wtóru.

— — 98530 — —
Tą drogą, co się w lesie zwięża
i co ją wierzby niosą nucąc, —
to ja do wioski już nie wrócę,
to na mnie nocą wyje księżyc.



ZDOBYWCA

W zmierzchle sny gdy się skryjesz jak w wilgotne trawy
podczołgasz się ostrożnie łachą wrzosowiska,
świeży trop cię poparzy, pochyliš się nisko
i pomkniesz nagłym rzutem w tarniny na prawo.

I gdy gardło zdobyczy przegryziesz w galopie
aż w srebrzystej polanie runie —
w wielkich kesach
łykać będziesz kawały dymiącego mięsa.
Rudy księżyc z polany resztę krwi wyłopie.

A potem ociężale zwalisz się jak kamień
w kotlinie skał zielonych, wśród ciszy bezbrzeżnej
i warcząc spojrzysz w niebo — zdobywca drapieżny
i jak mięsem surowym będziesz czekał gwiazdami.

— — — — —
A kiedy się obudzisz wchodząc do kawiarni,
nagły szelest dziennika mocno cię przestraszy,
aż się potkniesz i stolik przewrócisz niezdarnie
— uchyliš melonika i szepniesz —
przepraszam.

AKWARELE

I.

Gdy jutrzni brzask różowy z kogucich gardeł tryśnie,
z kosmatych rąk oparów w opłótkach wieś się wyśni.

Grzywiaste, ryże słońce galopem rwąc po zboczach
sen płoszy z rzęs — sitowi zielonych jezior oczu.

A rzeźki poryk bydła po rosie mknie dalekiej,
beczenia żwawych cieląt unoszą nurty rzeki.

I lśniący połysk kosi skowronkiem się oddzwoni,
dalekich ech tętenty wysrebrzą rżenia koni.

II.

Dyszące piersi niebios tchną skwarem przypołudnia
i rozkosz obiecują omszałe usta studni.

Nad stawem wrzątek słońca przez liści kąpiąc tłuszczce
W rześistych się pośmiechach kąpiących dziewcząt pluszcze.

Dzień pyłem zakurzony przystanął koło płotu,
błękitną chustą borów obciera krople potu.

Z nad tłustych zadów wznosząc ogonów swych chochoły,
sennie dal przeżuwają obłoki — siwe woły.

III.

Już ciężki popiół zmierzchu pokrywa ruń nalotem
i w prętach wierzbinowych wylega się tęsknota.

Już miesiąc srebro kosi zatępił w mokrym sianie,
zakwitły gdzieś w zaroślach fujarki rzewne łkania.

I giną psie psalmodie w dalekich echach błoni,
w brzęczeniu gwiazd — komarów wznoszących się nad tonią.

W pożogę zórz szkarłatnych i w ciężkich snów ramiona
gasnącym nurtem rzeki odpływa wieś uśpiona.

WITRAŻ

Na lewo
drogi obejmujące kolana wzgórz,
żółty piach i swąd przypalonej trawy.

W głębi bór
— ciemna plama w ryżych kudłach zórz —
i chaty znikające w dolinie na prawo.

Nad tym
obwisłe, bure wymię nieba,
żującego bez przerwy pęki suchych gwiazd.

Dołem
światła tańczące oddalonych miast
i pola
skamieniałe w czarnym śnie o chlebie.

WIERSZ WIOSENNY

Wiosna... Ja na to już nic nie poradzę,
słońce się śmieje od ucha do ucha,
niebo swe włosy chabrami przyglądza,
promienie brzęczą wkrąg, jak złote muchy.

Ziemi pierś wzbiera ciepłym mlekiem słońca,
dreszcz nią potrząsa pod kwiecistą kiecką,
a na ugorze po śnie ziewającym
wiatr baraszkuje ze słońcem jak dziecko.

To się przewala na plecy niezdarnie,
to znów wyczynia tak pocieszne skoki,
że aż las stary złapał się za boki
i trzęsie brzuchem nad zieloną darnią.

Niebo się śmieje, bór i ja się śmieje,
śmieje się słońcem, młodością, błękitem.
Chcę mi się hulać jak żreback po kniejach,
bo mnie zadławić chce życie zachwytem.

Kwitnę jak niebo, niczego mi nie brak,
do słońca chce mi się przylgnąć i wisieć.
Słońce mi za kark chlusnęło jak z cebra,
dalibóg, słońce we włosach mi tli się.

I prawie szaleć chce mi się ze szczęścia,
że to nie sen jest i nie żadna bajka,
że niebo kwitnie niezapominajką
i że przy bokach mam dwie młode pięści!

MRÓZ

Mróz, jak źrebiec mknie z grzywą śniegu skołtunioną,
pobrykuje po haszczach i prycha i parska.
Gwiazdom twarze poszczypał, aż zarumienione
na niebieskim klepisku przytupują dziarsko.

Drzewa w lesie trzaskają i huczą rozgłośnie,
zakrywają swe głowy śniegiem świerki młode:
gdy się czochra o korę na zrudziałej sośnie
mróz — źrebiec rozhukany i podkuty lodem.

Księżyc zwisa jak soplek pod niebios pułapem
i pociąga wciąż nosem prawie fioletowym;
zwisa siny, skurczony i wciska na głowę
z burych chmur watawaną, barankową czapę.

A w oddali, za głuchym, czerniejącym borem,
ponad płachtą śniegową, co się rozpostarła,
zorza, jak wilk zgłodniały do ziemi przywarła,
liżąc niebo zastygłe czerwonym jęzorem.

Wicher pogził się z mrozem, puścili się w płasy,
dzikie harce po łąkach, po jarach, rozstajach.
Mkną do lasu, by dębom ponurym w zagajach
ostrych szpilek lodowych poprzyprawiać wąsy.

Mróz się zbiesił, oszalał, buszuje po polu,
hula, grzmi kopytami, aż z śniegu skry leca.
Upił się, jak siwuchą, złośliwą swawolą,
w nagłych zwrotach zadymki i kurzawy niecac.

Przykucnęły chałupy skostniałe przy płotach,
dym zamarzył z kominów w górę się nie wzbija...
Psiakrew!... Zimno... A to się rozbrykał niecnota!
Pewno Pan Bóg tam w niebie też ręce zabija.

Gdy nad ranem łeb słońca zza wzgórza wyhynie
i zaświeci łysiną zaspaną i rudą,
to się potknie o ostrą, jak krzemienie grude,
którą mróz w harcach nocnych skopał po równinie.

MELODIA ŚWITU

Oto

świt płacze perłami rosy...

Na oczy

kładą się chmury błękitne borów płynących
w doliny

i

ciepło pełzną do ust narastającą falą...

Palce nurzają się w welnie seledynów
drżących

u horyzontu...

Oto

świat osuwa się miękko z czarnej chusty nocy,
która odchodzi krocząc po gasnących gwiazdach —
drzwi mroków zatrzasnąjąc ołowianą klamką —
księżycu.

I gdy

zróżnią mi się krople wiszące u powiek,
usta ledwo odczują smak gasnącej nocy...

I potem

zatoczywszy półkole,

zatoną w seledynach,

gdzie wykwitają nagle białe pączki chmur —

stadko główek dziecięcych w kędziorach jedwabiu,
schylone ciekawie

nad kołyską ze śpiącym niemowlęciem — zorzą.

A potem

palce moje z półtonów cieni i drzeń
wiszących na gałęziach, rozsypanych w polu —
uwiją jaśniejącą melodię przedświtu,
barwiąc ją seledynem i masą perłową...

Oto

oczy moje pościelam zorzy, która wschodzi
różą w pąkowiu chmur...

Oto
wargami delikatnie rozchylam jej płatki
i pocałunkiem obnażam z muślinów mgły...
Aż
drgnie,
i gwałtownie rozchyli wnętrza wszystkich płatków
i rozzwoni się gamą prupurowych tonów...

I gdy ciepłem różowym obejmie mi nogi
bose, brnące do kolan w chełstach wonnej fali
ujrzę
na dnie kielicha kwiatu powstające słońce —
dziewczynę zapłonioną o wargach wilgotnych,
rozchylonych uśmiechem sennego marzenia,
która
zacznie czesać leniwie złote pukle włosów...

Oto
klosz szklany świata unoszą na rękach
i kolorami tęcz, barwami wszystkimi,
które nadbiegły mi do oczu,
nadaje mu kształt...
Kolory wygładzam palcami...
wypieszczam odcienie...
Tony złociste, lazururowe dźwięki
splatom z puklami słońca...

I
nabrawszy pierś pełną kolorów i tonów,
uderzam w klosz świata krystalicznym hymnem
radości!...
Jestem sam najpiękniejszym kolorem...
Jestem najczystszy z dźwięków...
Myślę barwami
i ginę
w tęczach, blaskach, kolorach słońcem rozspiewanych...

Jest
rano.

II.

ALARM

Wy!

Szeregowcy wytartych, wyszarzałych pułków,
Słyszycie?...

Z zaułków
huraganem mknie tabun rozhukanych serc.

Nam

wiecznie do gwiazd się łąsić wyciem,
dniom — krukowi bielmo oczu wystawiać na żer?

Nam

w milczeniu wciąż krwawić o bruki pazury,
dymić na śniegach lepkiem kwiatem róż,
na pień, pod topór historii kłaść szyję,
patrzeć,

jak słońce codziennie nam wbija
zza muru,
w plecy,
ostry, błyszczący, zakrzywiony nóż?

Nam

codziennie skomleć żalonym akordem,
czołgać się, pełzać, łzami krztusić podle,
nam dusić w krtani skamieniały głos,
przyjmować cios,
na odlew —
w mordę?!

Rwać!

Batalionami,
skrami dni nowych zazgrzytać o bruk.
Grzmieć
milionami
podkutych buntu kanonadą nóg!

Już szczyty gór
zapieniły się świtem, wytrysły krwi malwą...
Pod mur —
salwą!

Błyski oczu rozjarzyć w szkarłatne kinkiety,
porozwieszać wśród gwiazdnych, poblądłych cokołów —
zewrzeć szczęki:
na kolanach o łaskę nam żebrać? —
W cielsko świata bagnetem!
Z dołu!
Pod żebra!

Szerzej!
Rozlewać się jak łuna w łukach horyzontu,
na rynkach i na placach płomieniem wyrosnąć...
Płomień w niebo uderzy —
będzie maj i wiosna...

Frontem
z piwnic, strychów, lepianek i nor,
w tyraliery, na gruzy podniebnych barykad,
słońcu gardziel rozepchnąć pięściami na sztorc!
Hymn zwycięstwa wyszarpać z serc krzyku!
Rwać!
Niebo stęgie wyszczerbić o skroń,
krew wrąca, jak benzynę już iskra rozpala...
Za broń!
Ala r m ! !

BATERIA

4-temu pułkowi artylerii ciężkiej.

Lufy pod czernią kapturów się przeją,
wschodzące słońce obręcze kół gniołą.
Ranek się wtula w woń końskiego potu,
leży pod kopyta, drży w szczęku uprząży.

Bateria milcząc wrzyna się w przestrzenie,
pod namiot nieba ryje się uparcie,
gdzie w dali zastygł, jak żołnierz na warcie,
bór, prezentując broń chmurą zieleni.

Ruń łąk kwiecistych wije się po szprychach
i słońce lekko łechce koniom nozdrza,
dzień pozdrawiając, zaczynają prychać,
nim go podkwa do ziemi przygwożdżą.

Topole równo mijają nas drogą,
makami wiewa płowych zbóż galeria
i tylko lufy czają się złowrogo
i sunie naprzód i milczy bateria.

Gdy koła w piaskach wzniesą złoty zamęt,
horyzont szumi błękitniej nad głową.
Skupieni, w działach — monstrancjach stalowych —
wieziemy Polskę — promienny sakrament.

Milczący prosto patrzymy Jej w oczy.
Na znak czekamy, by zerwać się burzą,
czernią wybuchów jasność słońca zbroczyć,
w noc granatami, rozkwitnąć jak róże.

Grzmotem warczymy po drodze szerokiej.
Baterią

w wicher!

Stal luf się nie pognie.

W nas
 namaszczonech celebrantach ognia
pręży się serce — zapalnik bez zwłoki.

Hostię Ojczyzny, my, męscy i prości,
na dusz kwadrantach wznosimy w legendę...

— — — — —
Bateria patrzy na dozór wieczności.
Działa gotowe.

 Czekamy komendy.

POCIĄG

I.

Lśniące szyny, jak węże, rozpełzły się z sykiem,
koła warczą i plują szybkością zawrotną.
Przestrzeń błada i drżąca cichaczem pomyka
i zastyga w objęciach chmur ciężkich, wilgotnych.

Szynom jakże rozkosznie świat w pręgi pochlastać,
kołom spać się, jak wódką, musującym pędem
i pochłaniać żarłocznie lasy, wsie i miasta
i zamieniać je w drżącą, błękitną legendę.

Tłoki charczą zdyszane, ochryple od jęku,
oszałałe, mnożone wzrokiem maszynistów,
wydzierane ich pierśmiom i ścisniętym szczętkom,
zasapane przestrzenią, wichrami i świstem.

Maszynistom, palaczom oczy ogniem gorą,
pod kotłami wrącymi żar kwitnie purpura.
Gwiazdy wokół jak łapy wielkich semaforów
z chrzęstem nocy łańcuchów unoszą się w górę.

Pociąg rwie błyskawicą, nurza się w tunelach,
na mostach zawieszonych szaleńczo nad głębią
z hukiem rytmy wrywa ze szyn wiolonczeli,
dymem, luną, iskrami krztusząc się i kłębiąc.

Szyby mknących wagonów szlifuje mdły księżyc.
Pod szynami dni stygną, jak czarne podkłady.
Słupy — lata mijane — rdzawe druty preżę.
Stacje — wieki w tył mknące ciężką galopadą.

Pociąg rwie...

Na zakrętach zatacza się zgrzytem,
huczy, grzmi, pruje piersią sine płachty wiatrów,
wzera się w nieskończoność, za włosy ją chwyta
i wywleka zza kulis niemeo teatru.

Stary dróżnik — czas siwy — chorągiewką słońca
próżno macha codziennie od wschodu na zachód.
Na zwrotnicach skomlących siadło widmo strachu...
Nikt nie wstrzyma warkotu kół po szynach mknących.

II.

Po wagonach — gondolach zawieszonych w próżni
sen się czai po kątach i pełnie ku wargom
przygwożdżonym do ławek, zastygłym w letargu,
jak szkielety bezwładne — jadącym podróżnym.

Już pod łuki słońce jasnych pociąg wpadł z łoskotem
i już gwiazdy, jak bluszcze owiły mu koła.
Nie zakwitły jasnością okna — oczodoły,
oblepione przepastną, jak wieczność martwością.

Spią podróżni na ławach, w wagonach sypialnych,
rozrzućeni w nieładzie, jak kto padł i przyłgnał.
Głusza w trupim pociągu pozą teatralną
przez szyby wygląda od oddechów wilgnych.

Nikt się ze snu nie zrywa, nie pyta gdzie pędzi,
nikt nie patrzy na księżyc, co krwią szyby plami,
żadnej myśli sprężonej wystrzelony kamień
nie wywali szyb okien jęczących w obłędzie.

Tylko oczy palaczy płoną, jak zarzewie,
tylko wściekły parowóz jarzące kły szczerzy,
tylko kotły bulgoczą w opętanym gniewie,
tylko dymy rzną niebo, jak gotyckie wieże.

Maszyniści oblani ukropem pożogi
prężą mięśnie rozdrżane pod słońca wilgocią,
krzykiem ramion wzmacniają kotłujący ogień
w skisłe dale worując rozhuwany pociąg.

Pociąg rwie, wyje wicher, przestrzeń się przelewa
nad dachami rozgrzanych od pędu wagonów.
Wokół wszechświat, jak wielkie granatowe drzewo
rodzi planet owoce — syczące neony.

Znowu zakręt, co zgrzytem, chrzęstem się zaznaczył.
I łeb słońca, co zimny horyzont zalepił
zbladł i zadrżał... gdyż s e r c a nie było w palaczach..
Maszyniści wrośnięci w dźwignie byli ślepi...

III.

Obłęd zużli się w rusztach, chwyta twardą garścią
maszynistów pod gardło, zgrzyta pędu wyciem.
Przed pociągiem krateru głąb czai się skrycie...
Maszyniści, palacze nie widzą przepaści.

Dorzucają pod kotły, pęd mnoży się, wzmaga,
koła jeszcze zawrotniej cwałują po szynach,
pociąg jeszcze zażarciej wichry pruje, smaga,
wali z chrzęstem, łoskotem, huczącą lawiną.

Już jak lej wiru w przepaść wsysa go powietrze.
otchłań macki wyciąga zakrwawione luną...
Już koła na ostatnim huczą kilometrze...
Już za chwilę nad głębią zawisną i ... runą!

Naraz w jednym z wagonów ktoś zerwał się ze snu,
ktoś wypełnił przedziały przeraźliwym krzykiem,
z wszystkich oczu przerżniętych tym krzykiem boleśnie
wytrysnęła koszmarem szarpiąca panika.

Trwoga mroźna, obłędna tnie serca jak noże.
pot śmiertelny na czoła zimne ręce kładzie...
Jak szaleni biegają bladzi konduktorzy,
wśród skomlących podróżnych stłoczonych w nieładzie.

„Za hamulec“!

„Zatrzymać“!

Oblakane dłonie

wyciągają się w górę oślizgłe od strachu...

„Nie działają!!“

... i cisza chwilę kłami dzwoni...

i ryk dziki, zwierzęcy rozsadza łuk dachów!

Wywalają się okna...

Drzwi pękają z trzaskiem,

tłum ryczący paniką, kłębi się, kotłuje...

buty miażdżą gardziele ochryple od wrzasku...

Do okien!

Drzwi!

Zęby...

Łokcie...

Pięści...

Wyskakują!!

A gdy pociąg głąb minął i pędził boczną,
aby rwać dalej w przyszłość, lecz już nowym torem,
zobaczyli Ją wszyscy przy dźwigni zwrotnicy,
Ją, tęczową Ideę, na tle semaforów.

I gdy po tym ze drżeniem, cicho przy kolacji
wspominali cień śmierci, co grozą urągał,
Ona raport pisała o mknącym pociągu
Do Boga — naczelnego zawiadowcy stacji.

BURZA

Zwolna
pełzną
z legowisk, w cieniach horyzontu,
z zaułków, z kątów,
zmierzwionymi kudłami ciągną, pną się w górę —
chmury.

Chyłkiem
pomykają przez bory, łąny i ścierniska —
głodne wilki o burych, wyleniałych bokach.
Nisko,
płaszcząc się, uszy wtuliwszy w tył głowy
gotowe
do
skoku.

Przyczaiły się brzuchem szorując widnokrąg,
przytłaczają łapami czuby drżących drzew.
Mokre
pyski
w ślepi zmrużonych, zielonkawych błyskach
wężą krew.

Jeden...
dwa...
trzy... cztery...

Mkną.
Łączą się w gromady,
w stada
łaknące żeru.

Posuwają się naprzód, skowyczą wichurą,
krążą kołem,
dołem...
góram...
w przód,
w bok...

Skok!

Pazurami już orzą po słonecznej tarczy,
marszczą pyski złowrogim charkotem ociekłe,
złe, wściekłe
warczą...

Kły

ostre
błyskają w spazmach wywiniętych warg.

Kłom

śni się spasiony kark,
gdy w skoku — błyskawicy łapy się rozpostrą...
w ślepią czerwony bluzg... kłapnięcie... kości zgrzyt...
i mięso rozrywane wśród śmiertelnych drgań...

Kłom

śni się chwyt
pod krtań!

Mkną

w nerwowych kłapaniach szczęk...
Już się nimi jak sługi horyzont zalepił...
Gdzieś zamarł lęk...
Skamieniał czas...

Trzask

bicza błyskawicy przez gorące ślepią!

Ryk!

Kłębią się wśród skowytów cielsk charczących wzgórze,
tysiąc kłów rozwsieczonych ciemności rozdarło...

— — — — —
Niech się nie cofnie nikt!

Rwać! Burzą!

Światu

do

gardła!

ALKAZAR

Historia się powtarza.

Pochodnie wieków w wichrze dziejów gasną,
a wiecznie młoda Nike o natchnionej twarzy
deklamuje z patosem komedię nieboską...

I wiecznie jest nieboskłon
za ciasny.

Świat, drzemiąc, czka skrzepami krwi, której się opił.
A jednak — czyje wargi, czyje święte wargi
wśród białych pocałunków grażyły w letargu
skronie
obrońców Termopil?

Czyje dłonie,
gdy pięty w rytmie walki wykrzesaly tan
i gdy w tęczę nad głową runęli najpierwsi,
przyginały do piersi
kwitnące róże purpurowych ran?

Słów krwią w niebo wpisanych najtrudniej się uczyć
i objawiać je światu, jak dziesięć przykazań...
I pięści trzeba twardych, pazurów i kłów!

Słuchajcie!

To znów

huczy
Alkazar!

Smarkacze,
o wargach krytych brzoskwiniowym puszkciem,
Wam

w tarczę słońca zahuczeć jak w werbel?

Wam

Europę zamrozić pod muszką?

W szczyby
nieb splugawionych piorunem Wam błysnąć?
Heksametrami krwi epos ukazać?
Oburącz rozkołysać i światu w pysk cisnąć
Alkazar??

Europa zamilkła strwożona...
Nocą tylko wciąż wyją lśniąca paszcze anten...
Moskwa.. Paryż.. Warszawa.. Lizbona..
rośnie.. rośnie.. wibruje przeraźliwy fantom..
Jedno słowo jak powiew zbawienia...
Jedno słowo się czai do skoku — mór klęski...
Oszałały nim wszystkie spojrzenia...
W wszystkie mózgi się wżera zarazą:

— Alkazar??

— Zwycięski!!!

Ostatniego już konia odarto ze skóry,
ranek salwą baterij wybuchnął nad głową.
— Do broni!

Kontratakiem!

Za mury! Za mury!

Na bagnety! Za wyłom!

— Gotowe?

— Gotowe!!

W płasy... w płasy ze śmiercią — białą tanecznica...
W barykady historii... mroźny wicher eposu!
W wieczność... w wieczność, co szkli się w rozwartych
żrenicach,

Europa zamarła... zastygła bez głosu...

Coraz bardziej dłoń parzą mauzery dymiące...
Coraz ciśnień krtań dławią upiorne miesiące...

„Poddajcie się!”

Tłum groźny skowyczy wichurą.

„Poddajcie się!”

Rzygają wściekle paszcze armat.

„Poddajcie się! Poddajcie! Giniecie na darmo!”

I znów raną rozdartą zaświeciły mury...
i znów słońce — pantera przywarłszy do głazów
krew ciekącą zlizuje... krwią gęstą się tuczy...

Alkazar
huczy.

Przerażenie zawisło pod chmurnych nieb stropem...
i trwoga, trwoga w febrze, kłapie, dzwoni kłami...
W czyje dłonie wgrzyźć zęby, żeby nie oszaleć?...

(Nocami
w skale
kują podkopy...)

Lont...

Dynamit się skrada, czai się i przeży...
W lilie ognia i dymu rozkwitnie wieczorem...
Na murach Alkazaru pełnią straż upiory!
Alkazar się nie podda!!

Alkazar zwycięży!!

Grom!
Huragany! Błysk! Ogień! Wichura!
Mury
wałą się w gruz!...

Jeszcze jeden krzyk ostry nieśmiertelnych ust!
jeszcze jeden kontr-atak!

Kłęby ciała!

Szaleństwo!

O kamienie!

O cegły!

O zreby!

Na bagnety!

Na pięści!

Na zęby!

Zwycięstwo!!!

Europo grzebiąca we własnych jelitach!

Europo stoczona wrzodami i smrodem!

Nierządnico! Wlokąca swe cielsko na bazar. —

to jest słońce jarzące u wschodu...

to się nowa historia młodzieńczą krwią płucze...

to są twarde na gardle twym stopy!

Europo!

to

huczy

Alkazar!!

DYNAMIT

Świdry

w dół

ostrym wirem wgrzają się w skały,
 lśniąco węże o żądłach jadem stali twardych.

Bloki

stęgle wiekami w trwożliwych pomrukach
 drżały
 w huku
 oskardów.

Ciągłe,

bez przerwy

rozhukany, tańczący w drgawkach paroksyzmu,
 świder — chirurg zaciekły nurza się w jelitach
 kamiennych przyz.

Zgrzytem

wkręca się w żeber trzaskające szkliwo,

wrywa

nerwy.

I

już

w fałdach wnętrzości zakurzył się skrami
 i wyrwał kawał mięsa, wściekłością zacharczał.
 Przerażeniem się rozwarł wyszarpany otwór...

Ze skrzynek

z banderolą

warcząc,

sunie zwolna, uparcie ciemno-szary potwór —
 dynamit.

Sygnal.
 Wichrami echo drży:
 „Uciekać!!“
 Cisza...

i łopot serc...
 i w gardle... w gardle ścisk...

Skra...
 pełźnie...
 już...

niedaleko...

Błysk!!
 I.....

W banderolach bagnetów nasze wrące słowa
 jak dynamit przewożą z napisem „Ostrożnie!“
 Niebo — trumna zabita gwiazdami nad głową,
 gniecie piersi kolanem stęchlizna przemożna.

Świdry

w dół!

Furią ramion!

Zgrzytem w wir!

Borować!!

Zza gruzów

w tęczy zórz

Nowe Jutro rozbłyśnie przed nami.

Już??

ładować

d y n a m i t !!

L. W.

Łódź!

PIĘŚCI

Precz z symfonią żalowaną!
 Lawa słów płomienistych kapie coraz gęściej.
 Grzmiały wyrazy — petardy w krótkich, rwanych hukach.
 Na bruku
 rosną
 pięści!

Zakwitają makami,
 burzanami krwistymi w płomienisty klomb...
 Pachną ogniem, twardnieją, huczą za oknami
 owocami cierpkimi — sykiem wrzących bomb!

Groźnie,
 jak dęby,
 szaleją wichurą.
 Pięści z bruków wypruły, jak trzewia, ten głos.
 pięści warczą, jak werbel przed salwą pod murem:
 — jeden cios
 w zęby!

Lasy pięści się preżą,
 zalewają, jak morze ,dziejowy horyzont.
 Pięści w słońce się wgryzą!
 Pięści jutro zwyciężą!
 Pięści rwą jak lawina w skowycie i chrzęście,
 pięści niebo rozorzą jednym błyskiem kłów!
 Dostyc słów!
 Dzisiaj
 są
 pięści!!

Trzeba nam słów?
 Rdza
 ich łańcuch wiekowy do szczytu przeżarła.

Znów
będziemy nucili o szczęściu?...
Miejsca pięściom!
Pięciami
do gardła!!

Pięści
w górę
jak młoty wznoszą się, kołyszą,
ciągną chmurą,
dyszają...

Wystrzeliły nad pola, nad kominy miast,
pięści twarde, warczące, obłądne, sękaty...
Już przekleństwem zawisły, jak burza, nad światem.
Już grzmiały górnym akordem w fortepianie gwiazd!
Już się kłębią, zgrzytają, gniewne, opętane,
już się krwawią szkłem słońca, już walą taranem...
już są nisko nad głową, już parszczą luną...

Pryśnie świat — szklana bania
z loskotem na części...

Za chwilę
runą
pięści!!!

III.

LUCYFER

W chaosie huków rodzących się planet,
w skowycie wichrów i gromów uderzeń,
w zgiełku błyskawic w ciemności woranych
stałeś ty —
Lucyferze.

Stałeś.
Dławileś wszechświat twardych nóg okrakiem,
zuchwałych, w słońca wtłoczonych jak mur.
W rozwianą grzywę wplotły ci zygzaki
skier trzaskających hełm błyskawic ostrych,
jak groty śmigłe szarpiących harpunów.
O pierś szczybiły ci się szczyty gór.

Huczała otchłań oblewając luną
brząz twych sprężonych wulkanami bark,
co się za chwilę jak piorun rozpostrą...
I kark,
twój hardy, pyszny, nieugięty kark.

Szeroki miałeś oddech,
szeroki, jak wieczność...
I głód potęgi tryskający z żył.
Wzrok gwiazdy rznący jak miecz obosieczny,
pięść druzgocącą światy w drobny pył.

Drgały ci nozdrza rozdęte wichrami...
Jednym oddechem gorejących płuc
wzniecałeś wokół gwiazd syczącą zamieć,
co w wirach mknęła o wieczność się tłuc.
Stałeś
na grani światów, na tle krwawych zórz
oślepiający, nagi i ogromny,
jak groźny pomnik
odlany z wichrów, piorunów i burz.

Wiedziałeś,
żeś jest silny, potężny, wspaniały,
że wre ci w piersiach huraganna moc...

Wstrząsnąłeś grzywą...
I światy wokół z loskotem zadrżały,
bładością ścięła się bezmierna noc.

Ruszyłeś...
Planety łaszac się u nóg ci pełzną,
jak psy pokorne, skopane, lękliwe...

Idziesz,
wszechświaty chłoszcząc płomienistą grzywą.
Kto cię zatrzyma? Kto? Kto cię okielzna?

Ty...
królewsko dumny, rozhułkany bożek...
Słońce ci za mało i gwiazd ci za mało!
Ty miałbyś kark swój nagiąć pod obrozę?
Ty miałbyś zginać w ukłonach kolana
coby ci strachem tłukły się i drżały,
ty ogrom mocy ślać do stóp w ofierze,
ty,
ty,
Lucyferze??

Idziesz...
Groźny, sprężony, jak tygrys do skoku,
zrywasz się, wdzierasz wysoko, wysoko,
nad gwiazd gasnących oszalaly łan.
Przesz naprzód w wichry obrośniętą pierś,
by tam...
wznieść w górę swą potężną pięść
i zagrzmić:
Ja!
Ja!... Pan!!

CMENTARZE

Krzyże, jak maszty strzaskane i reje,
żagle odarte rozstrzępiły burze.
Ostatnie tchnienie wydała przy murze
bielmem swych oczu szkląc dale — nadzieja.

Nogi ciężyły za bardzo, jak ołów,
zabrakło nagle ustom słów o chlebie.
Gwiazdy są nisko, pomników cokoły
czeszą je co noc swą bielą, jak grzebień.

Czas — gazda stary, tutaj pewnej doby
siał ziarna śmierci, daleko, szeroko...
W nocy piach skropił księżycą posoką,
rano wyrosły bujnie żółte groby.

Wszystko, co było, przywaliły głązy,
głusza po krzewach i ścieżkach szaleje.
Piszą na niebie zastygłe wyrazy —
krzyże, jak maszty strzaskane i reje.

MÓJ CHRYSSTUS

Nie widziałem Cię w dzwonach huczących nad miastem,
w barwnych flagach, co rojem sfrunęły na mury,
ni w przepychu procesji, którą wodził zastęp
dostojników w fioletach, w płomieniach purpury...

Nie widziałem Cię w fałdach złotych baldachimu,
co wśród świateł ulewy ponad tłumem wisiał,
ni w rubinach monstrancji, którą prałat trzymał,
pod eskortą brzuchatych, wyfraczonych łysin.

Wiem na pewno, że stałeś gdzieś bosi pod płotem
i patrzyłeś na tłumy ciche, oniemiały
i ranił Cię aż do krwi błysk ornatów złoty,
i straszły Cię kute w srebrze pastorały.

I smutny byłeś bardzo i cichoś coś szeptał
i oczy przysłoniłeś umęczoną ręką,
gdy tłum strojny, błyszczący wpełchnął Cię we wnękę
i nogi Twoje bose idąc mimo deptał..

Ale widzę Cię codzień po bocznych ulicach,
po zaułkach, wśród nędzy, w wyszarzałym palcie,
gdy noc kwitnie na niebie zielonym księżycem
chodzisz, ślady stóp krwawych znacząc na asfalcie.

W ciemnych wnękach przystajesz, gdzie ból z nędzą drzemią
i łzy, krwawe łzy zwolna po twarzy Twej płyną,
i jeszcze raz chcesz czoło cierniami owinać,
i jeszcze raz chcesz umrzeć i odkupić ziemię.

Wiem, gdy będę drżał w męce w noc chmurną i mglistą
i łbem kruszyć chciał mury i skomlił rozpaczą,
przyjdiesz do mnie, obejmiesz i razem zapłaczesz
Ty, z krzywego zaułka Król nędzy —

Mój Chrystus.

GETHSEMANI

Czarne skrzydła cyprysów mdlejące na zboczach
I biel ścieżki strzelistej wstępującej w gaje.
Szkarał zorzy dalekiej, którym szczyt się zajął,
Rdzą wędnącą na stokach coraz słabiej broczył.

Usta dali rozwarte granatowym tchnieniem
Słały wzgórzom westchnienia i śnienia przedziwne.
I noc przyszła do gaju, by błdzić w skupieniu
W spływających po zboczach gałęziach oliwnych.

Gdy krzew winny niebiosów pochylił wśród liści
Grona gwiazd — płynnym złotem napęczniałe kiście,
Aż sok słodki się sącył na miasto w dolinę —

— Oddech ciszy gorącej omdlewał na głazie.
Nagle krzyk przerznął niebo i wszystko przeraził.
To unosił się w górę księżyc — kielich z cyny.

GORĄCZKA

Nie mogę znaleźć miejsca dla rąk...
Głupie ręce, chcą ciągle gdzieś wędrować.
Moja głowa... gdzie jest moja głowa?
Ach tak,
wśród wielkich, mokrych, aksamitnych łąk...
Chociaż nie, aksamitna może być tylko noc —
czarna pani odziana w puszysty aksamit,
strojna w kolie, diademy sadzone gwiazdami...

Głupie ręce,
znów chcą wędrować a ciężkie są jak kloc.
To tak jak w piosence,
którą chłopak chciał wykręcić z wierzbiny
i położyć na ustach zielonym dolinom,
lecz rękom brakło tchu, gdyż krowy weszły w żyto...
I łzy nabiegły do oczu błękitom
i nie było piosenki...

Nad łóżkiem stoi las. Las jest dziwnie miękki,
Kto tu mówił przed chwilą, że ja mam gorączkę?
A jednak tu las stoi z małą wilgną łączką,
z naręczami rozkwitłych, fioletowych wrzosów...

Ręce znowu chcą w drogę, te ręce... te ręce...
— Boli! Puszczajcie! Po co aż wykręcać!
...w lesie może gdzieś zakwitł biały kwiat lotosu,
w lesie kwiatem paproci Bóg gwiazdy rozpala...
A może
gdzieś po leśnych rozdrożach
błąka się cień odwieczny promiennego Graala?

Las przyszedł, jest las, wyrasta mi z piersi,
las ma łapy kosmate igliwiem jak sierścią...

Kto ten las tu posadził, kto mówił o Graalu?

Ręce pną się ku szczytom, ku dalom... ku dalom...
 Dal ma takie czerwone, śmiejące się usta...
 Do tych ust ręką dotknąć, nie ustać... nie ustać...

Ręce bardzo strudzone o kiju pielgrzymim
 chcą na gotyki gór. Góry są olbrzymie,
 opasane w krąg tęczy orderową wstęgą
 na której wisi słońce, słońce do mnie sięga,
 mogę go dotknąć
 wybijcie tylko okno,
 ściany, ściany trzeba poszerzyć!...

Dlaczego szyby płaczą? Nie mogę uwierzyć,
 że to jest deszcz.

Zimny dreszcz...

Jak tam muszą drzeć z zimna nagie, mokre głązy...

— „Czterdzieści stopni“

Tak się strzępią wyrazy,
 wydłużają okropnie...

No tak, stopnie
 po których trzeba iść...

Ręce, ręce, puszczajcie mi ręce!

Ręce płoną jak żagwie, skręcają się w męce!

Nie trzymać, będą gryźć

Ręce, moje ręce...

— — — — —
 Nam gorączka przepala wyciągnięte dłonie,
 do innego nam krzyku zatęskniły gardła.
 Spójrzcie, niebo jest stęgłe jak lawa zamarła,
 słońce nie w tej nam wschodzi co powinno stronie.

Zakrwawiły się wargi pieśnią o zwycięstwie,
 świat — chirurg bardzo mądry wyciął ją lancetem.
 Ręce szarpią się ciągle, to nie to... to nie to...
 Dołem pełzną dni stęchłe — kaftan bezpieczeństwa.

BALLADA O KAMIENNYM MIEŚCIE

Pod niebem kamiennym,
pod wichrem jesiennym
śpi miasto kamienne w dolinie.
Tam księżyc lśnić wokół
w kamienny stęgl cokół
i rzeka kamienna tam płynie.

W tym mieście znajomym
kamienne są domy
(snać kamień już wszystko zagarnie)
kamienne podsienia
i domy z kamienia,
migocą kamienne latarnie.

W złym niebie w przymierzu
kamienne tkwią wieże,
czas także kamieniem zatruty.
I odkąd trwa czar ów,
z kamiennych zegarów
spadają kamienne minuty.

W katedrze zakłęci
kamienni tkwią święci
i szepcą kamienne nowenny.
Zakute w witraże
kamienne lśnią twarze
i Chrystus w ołtarzu — kamienny.

W kamiennych pałacach
w ulicach i placach
(nic już się od wieków nie zmienia)
w kamiennej snią złudzie
zwierzęta i ludzie —
chodzące posągi z kamienia.

Aż kiedyś nareszcie
w kamiennym tym mieście
KTOŚ zmącił kamienną groteskę
(Opatrzność, czy traf dał?)
zawołał:

„Nieprawda!
Wszak niebo jest przecież niebieskie!”

I pędził z nowiną,
kamiennym dziewczynom
na rogu kamiennym tchnął SŁOWO.
Ujrzały zdumione,
zalekłe, zdziwione,
że piersi im kwitną różowo.

Nim lica dziewczęce
spłonęły rumieńcem
ON w rynek kamienne wiódł chamstwo
i stanął płomienny
na ganku kamiennym
i krzyczał:

„Słuchajcie, to kłamstwo!”

Skry dziwne siał z oczu,
tłum słuchał i poczuł,
że zieleń i słońce nad głową.
I krzyk się wdarł w głuszę,
tłum skłębził się!

Ruszy!!

(Ulicą powiało majowo.)

ON wybiegł na czoło,
z kamiennych kościołów
Chrystusa naprzeciw wiódł fali
i rany otworzył
i palce w nie włożył...
Runęli na twarze.
Płakali.

I potem, gdy razem
pobiegli z ekstazą
sztandary frunęły do góry —
ze szczękiem złowrogim
zniecka, za rogiem
wyrosły kamienne mundury.

I znowu, jak przedtem
kamiennym tchną szeptem,
rzucają kamienne spojrzenia,
chodzące posągi.
I Chrystus na nowo skamieniał.
jak dawniej, jak ongi

Pod wichrem co zastygł
kamienne śpi miasto
snem twardym, jednakim, niezmiennym.
I tylko w rocznicę
w kamiennej ulicy
wzniesiono Mu pomnik.

Kamienny.

DO ŚWIĘTYCH WISIELCÓW

Błogosławieni bądźcie, wy, mali i wielcy,
o święci kajdaniarze i święci wisielcy,
coście dłonie krwawili po pałkach i knucie,
o święty Borelowski i święty Traugucie.

Błogosławiony stryczek, co krtań wam zaciskał,
i nóż błogosławiony, co w oczy wam błyskał,
i kraty — rdzawe ruszta na oknach i bramach,
i ciemnie zgniłych lochów, i smrody kazamat.

Wszyscy, którzyście byli i swoi i obcy,
mężę siwe, poblądłe i rumiani chłopcy.

Wy, szaleńcy spartańscy z ekstazą w żrenicach,
zbuntowani na forum rzymscy niewolnicy.

Ziem nieznanych odkrywcy, zuchwali żeglarze,
zasypani samumem w piaszczystej Saharze.

Wy, badacze zjedzeni przez Zulów czy Kafrów
zarżnięci w gąszczach puszczy Ameryk i Afryk,

konający z pragnienia w przestrzeniach upalnych,
Amundsena lodowe w blaskach borealnych.

Barbarzyńcy, krwawiący marmur w Kwirynale,
krzyżowcy pomorzeni w murach Jeruzalem.

Wszyscy wy, w glorii krwi swej chodzący, jak w chwale,
poduszeni strykami, wbijani na pale,

zawieszeni na hakach, wśród rzezi wyróżnieni,
błogosławieni wszyscy i wszyscyście święci.

Czyście głośni, nieznani, czy mali, czy wielcy —
o święci kajdaniarze i święci wisielcy.

Żeście krwi swej szaleństwem, oddechem wielkości
zgnili świat zabarwili rumieńcem młodości,

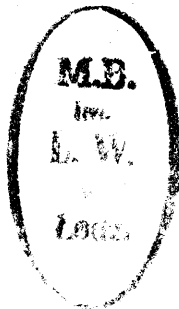
żeście skrzydła rozwarli szeroko do lotów
i piersi zarazili nam wieczną tęsknotą,

żeście cud swej idei porwali w ramiona,
hardo dźwigać umieli i walczyć i konać,

i że danem wam było, zdobywcy bez trwogi,
wam jedynym i jednym mówić twarz w twarz z Bogiem.

Przesłanie:

W stęchłych dniach, które kwitną w krąg rezolucjami,
wszyscy święci wisielcy módlcie się za nami.



SPIS RZECZY

	I.	Str.
<i>Ojczyzna</i>	.	7
<i>Facjatka</i>	.	9
<i>Dwa miasta</i>	.	11
<i>Miasto śpi</i>	.	13
<i>Cham</i>	.	15
<i>Upał</i>	.	17
<i>Droga</i>	.	19
<i>Zdobywca</i>	.	22
<i>Akwarele</i>	.	23
<i>Witraż</i>	.	25
<i>Wiersz wiosenny</i>	.	26
<i>Mróz</i>	.	27
<i>Melodia świtu</i>	.	29

II.

<i>Alarm</i>	.	33
<i>Bateria</i>	.	35
<i>Pociąg</i>	.	37
<i>Burza</i>	.	41
<i>Alkazar</i>	.	43
<i>Dynamit</i>	.	47
<i>Trzeci Maj</i>	.	49
<i>Pięści</i>	.	53

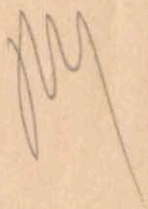
III.

<i>Lucyfer</i>	.	57
<i>Cmentarze</i>	.	59
<i>Mój Chrystus</i>	.	60
<i>Gethsemani</i>	.	61
<i>Gorączka</i>	.	62
<i>Ballada o kamiennym mieście</i>	.	64
<i>Do świętych wisielców</i>	.	67

Et. -

1481/81060

N. Sw. Al pres 103 | 13364



98530